świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 67 (1641) Warszawa, wtorek, 22 sierpnia 1967 r. Cena 50 gr

DZIECI Z 20 KRAJÓW W URZĘDZIE RADY MINISTRÓW

430-osobowa grupa młodzieży — uczestników XVI Międzynarodowego Pionierskiego Obozu Pokoju i Przyjaźni, na zakończenie pobytu w Polsce spotkała się w Warszawie z wicepremierem Piotrem Jaroszewiczem.

W ogrodach Urzędu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu zgromadziły się delegacje z 20 organizacji pionierskich i postępowych organizacji dziecięcych z Europy i Azji.

W imieniu uczestników Międzynarodowego Obozu Pionierskiego Natasza Briazgina ze Związku Radzieckiego złożyła wicepremierowi Jaroszewiczowi meldunek, a przedstawiciele poszczególnych delegacji wręczyli gospodarzowi spotkania chusty, emblematy swoich organizacji i wiązanki goździków.

Wicepremier Jaroszewicz w imieniu rządu PRL serdecznie powitał wszystkich uczestników XVI międzynarodowej akcji letniej ZHP. Cieszymy się bardzo — powiedział — że mogliście przeżyć te kilka tygodni w Polsce, że zetknęliście się z osiągnięciami narodu polskiego w różnych dziedzinach. Mamy nadzieję, że w czasie pobytu w Polsce wypoczęliście, a w wędrówce po naszym kraju towarzyszyła wam radość, że spotkaliście się z sympatią naszej młodzieży i całego społeczeństwa.

Wicepremier Jaroszewicz prosił uczestników spotkania o przekazanie pozdrowień od polskiego narodu i naszej młodzieży — rodzicom, nauczycielom i kolegom.

Po wspólnym podwieczorku odbyły się występy harcerskiego zespołu „Gawęda".

Uczestnicy spotkania otrzymali na zakończenie pamiątkowe albumy Polski i Warszawy.

W spotkaniu wzięli również udział: minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego prof. Henryk Jabłoński, naczelnik ZHP Wiktor Kinecki oraz zastępca kierownika Wydziału Zagranicznego KC PZPR Marian Renke. (PAP)

Gniazda kormoranów na wysokich drzewach przypominają kolonie gawronów. W pierwszej połowie kwietnia kormorany składają jaja i siedzą na nich 23—24 dni. Pisklęta są ślepe i, zanim pokryje je czarny puch — gołe. Foto CAF

Kormorany

W pogodny dzień, gdy powietrze jest przezroczyste, już ze stacji kolejowej w Mikołajkach można zobaczyć łabędzie krążące po jeziorze Łuknajno. Podwodne łąki tego płytkiego jeziora porośnięte ramienicą i rdestnicą są wyśmienitym żerowiskiem dla „królewskich" ptaków toteż przebywa ich tu każdego lata ponad tysiąc. Łuknajno jest rezerwatem łabędzi, zwanych niemymi. Obok, po prawej stronie stacji Mikołajki, ciągnie się brzeg jeziora Śniardwy. Tam znów widać kolorowe żaglówki. Mnie jednak nie nęciły królewskie ptaki ani żagle na Śniardwach, nie one były celem mojej wyprawy.

Chcę zobaczyć kormorany...

...Z taką prośbą stanęłam przed obliczem wojewódzkiego konserwatora przyrody w Olsztynie, pana inż. Jana Panfila.

— Oho, ho! Trochę za późno pani przyjechała... Kormorany już odlatują... Ale będziemy ich szukać — i, spojrzawszy krytycznie na moją letnią i nieco przykusą (jak każe moda) suknię, zażartował: — ale pokrzywy tam są jak osy!

— Co tam pokrzywy! — odpowiedziałam lekceważąco i już wiedziałam, że pojadę do rezerwatu kormoranów i że towarzyszyć mi będzie najlepszy znawca terenu olsztyńskiego — sam pan konserwator.

Ciąg dalszy na str. 8

Dawniej przez pustynię można było jechać tylko na wielbłądach i osłach. Dziś, po nowoczesnych drogach mkną „gaziki" i wielotonowe samochody ciężarowe. Ale wielbłąd i osioł nadal oddają nieocenione przysługi. Można nimi dojechać wszędzie: i tam, gdzie bezmierne tereny zalega piasek, i tam, gdzie wznoszą się niebotyczne góry Foto Jerzy Klima

Tajemnice KARA-KUM

SAM fakt istnienia Naukowego Instytutu Pustyń wydał mi się trochę dziwny i nieco nawet śmieszny. Bo jeśli jest Instytut — to zapewne sztab naukowców przeprowadza doświadczenia i eksperymenty. A co tu można eksperymentować na piasku i z piaskiem? Jak pustynia, to pustynia. Była, jest i zawsze będzie. Ogromna! Liczaca około 300.000 km², czyli prawie tak wielka jak Polska. W najlepszym wypadku należy tam doprowadzić wodę. Ale po co zaraz tworzyć specjalny Instytut?

Maria Salamonówna Sznejjer, sekretarz naukowy Instytutu Pustyń w Aschabadzie, stolicy Turkmenii, uśmiechnęła się tylko, kiedy powtórzyłem jej swoje wątpliwości.

— Wielu ludzi, nawet ci, którzy stale pracują na pustyni, podobnie myślało o naszym Instytucie. Początkowo nie liczono się z naszym zdaniem i popełniano wiele błędów. Kosztownych! Czasem trudnych do naprawienia.

Przykłady? Proszę bardzo. Przez Kara-Kum przeprowadza się liczne linie kolejowe, telegraficzne i drogi. Wznosi się na pustyni fabryki, buduje kopalnie. Bo Kara-Kum to nie tylko piasek czy glina. Nasza pustynia kryje liczne bogactwa: siarkę, ropę naftową, gaz ziemny i niezwykle cenne, rzadkie minerały.

Więc bywały wypadki, że bez poradzenia się naszych naukowców, źle wytyczona droga, już po kilku miesiącach była zasypana przez piaski, że, zanim skończono budowę źle zlokalizowanej fabryki, na parterze piasek sięgał sufitu.

Pustynia Kara-Kum ma swoje groźne tajemnice, rządzi się swoimi prawami. Zadaniem naszego Instytutu jest wydarcie pustyni tych tajemnic, podporządkowanie jej kaprysów woli człowieka.

Dziś każdy dobrze to rozumie, kto ma do czynienia z Kara-Kum. Dziś każdy projekt instytucyjny związany z pustynią — jest konsultowany z naszym Instytutem.

Kreśląc, najlepiej będzie, jeśli o swojej pracy opowiedzą kierownicy poszczególnych pracowni naukowych.

C.D. STR. 4-5

dwaj na krupie

Tak oto wygląda ziemia, na której gospodaruje pan Polikarp. Po deszczu tonie się w niej jak w mazi i zostawia buty. Gdy wyschnie — twardnieje jak deska i pęka. Od setek lat nikt jej nigdy nie uprawiał.

Rozdział XXIII

DZIWNE ZJAWISKO

JEST skwarne południe. Wimpelek, czyli maleńka, obrotowa chorągiewka, zamontowana przez Andrzeja na dachu kajuty naszego „Eboreta II" ani drgnie.

Wiatr jest niewielki — ale nie dla nas. Płyniemy równo z nim i przychodzi mi do głowy, że to nawet dobrze, gdyż silniczek, który ma już za sobą 700 kilometrów, trochę odpocznie. Andrzej zresztą dłubie w nim bez przerwy: coś przykręca, smaruje, piłuje. Podejrzewam, że mój przyjaciel zakochany jest w silnikach do szaleństwa. Kiedy jest przy sterze, to ja zamiast siedzieć i podziwiać krajobrazy — muszę stać na dziobie i uważać, żebyśmy się nie nadziali na jakąś starą tamę.

Stoję więc na dziobie potulnie, machamy rękami i wrzeszczę, kiedy na coś najeżdżamy. Ale dzisiaj, to ja się zagapiłem, a nie Andrzej. A było tak: na 660 kilometrze, czyli 150 km za Warszawą, ujrzałem na prawym wysokim brzegu Wisły coś zupełnie niezwykłego. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś pomalował cały szczyt góry na pomarańczowo! Łapię za lornetkę, żeby lepiej zobaczyć, ale nic nie pomaga. Wpatruję się, kręcę szkłami i dalej nic z tego. Pomarańczowo i tyle. Myślę sobie: ktoś farbuje lniane płótno i suszy na słońcu? Ale skąd go aż tak dużo? Bo przecież trudno sobie wyobrazić, że znalazł się wariat, który by pomalował farbą całą górę dla przyjemności! Może w takim razie jest to rezerwat rzadkich roślin, które właśnie kwitną?

I w tym momencie wyrżnąłem zębami w dach kabiny. Andrzejowi spadło na głowę nasze radio tranzystorowe i zamilkło na zawsze.

Na skutek mojego zagapienia wjechaliśmy całym rozpędem w sam środek krzaczastej kępy, tuż obok prawego brzegu! I w ten sposób zawarliśmy znajomość z panem Polikarpem Nagórskim z Dobrzynia.

Dobrzyń, to jedno z najstarszych miast Polski. Już 900 lat temu był tu gród warowny i obronny zamek. Pisał o nim Długosz w swych „Kronikach". Mieszkali tu rycerze zwani „Braćmi Dobrzyńskimi", stąd pochodziła słynna Nowojka — mieszczka dobrzyńska, która — jako pierwsza kobieta w Polsce — rozpoczęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Było to w początkach XV wieku i Nowojka w przebraniu chłopca chodziła na wykłady narażając życie, gdyż studiować kobietom w tych czasach srogo zakazano.

Dziś Dobrzyń jest niewielkim, spokojnym miasteczkiem i przyjeżdżają do niego wycieczki, aby obejrzeć słynne ogrody pana Polikarpa Nagórskiego, dziwnego rolnika, który osiedlił się na samym szczycie skarpy, zbudował tam dom, zabudowania gospodarskie i postanowił, że będzie siał, sadził i zbierał na jej gliniastych zboczach, stale obsuwających się do Wisły.

Kiedy pytałem pana Polikarpa, jak to się dzieje, że tak wszystko u niego rośnie, uśmiechnął się i powiedział: „Nie ma w tym żadnej tajemnicy, trzeba po prostu mądrze gospodarować, dać ziemi to, co się jej należy, nie oszukiwać jej byle czym. Wtedy i ona odwdzięczy się człowiekowi. Cdn.

Kiedy pan Nagórski tu się sprowadził i zaczął gospodarzyć na skarpach, ludzie stukali się w czoła i proponowali, że mu odstąpią po kawałku ziemi ornej, bo z głodu umrze. Ale kiedy zaczął sprzedawać nasiona kwiatów, wybudował dom i zabudowania (spichlerz widzicie na zdjęciu niżej), zjawiła się... milicja. Ktoś doniósł, że — „Nagórski musiał znaleźć skarb napoleoński, bo z tej ziemi zwykłym sposobem tyle pieniędzy wyciągnąć się nie da!". — Oczywiście, żadnego skarbu nie było. Skarbem tym są dwie ręce pana Polikarpa, mądra głowa i przywiązanie do ziemu, jaka by nie była.

Oprócz swoich słynnych skarp ma pan Nagórski trochę ziemi — „zwykłej". — Oglądałem te pola i uprawy na nich. Wszystko tam dwa razy większe niż na polach sąsiadów. W kartoflach można się schować, rzepak (widzicie go na zdjęciu) — który normalnie kosi się kosą — u niego trzeba podcinać specjalnymi sierpami, gdyż ma tak grube łodygi jak w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie.

W ogrodach jest niemal wszystko. To, co widzicie na zdjęciu, to arbuzy, o których mówią, że w Polsce nie da się ich uprawiać, że za zimno. U pana Nagórskiego rosną jak na drożdżach.

Spróbowałem zapisać gatunki i rodzaje upraw. Czego tam nie ma: pomidory, melony, morele, ogórki, kartofle, marchew, fasola, kapusta, buraki, tulipany, floksy, cynie, róże, groszek pachnący, porzeczki (czarne, czerwone i białe), agrest, jeżyny, winorośl, gruszki, jabłka, brzoskwinie, orzechy laskowe (wiele odmian, jedna z nich fioletowa jak poduszka do tuszu), orzechy włoskie, bzy, sosny, głogi, tuje, ozdobne jabłonie, wiśnie i już nie będę więcej wymieniał, bo mi się w głowie kręci.

Tekst i zdjęcia: JERZY DĄBROWSKI

Moje wymarzone wakacje

Wehikułem czasu DO KRÓLA

WSZYSTKO zaczęło się od tego, że na urodziny dostałem od wujka starego „Forda" (model jeszcze przedwojenny). Miałem od dawna pewne plany i na ich podstawie wybudowałem ze starego „Forda" — wehikuł czasu.

Samochód uległ małym przeobrażeniom, wmontowałem to i owo, nie będę się zresztą rozwodził nad szczegółami. Jedno było istotne: „Ford" mimo przeróbki nie stracił zdolności jazdy. Był to więc ruchomy wehikuł czasu. Postanowiłem przenieść się w przeszłość. Zawaliłem wnętrze samochodu różnymi rzeczami, pożegnałem się z rodziną (prawdę mówiąc w domu traktowano mnie z przymkniętym okiem), zasiadłem wygodnie w samochodzie i puściłem maszynę w ruch.

Na zegarze, który zamiast godzin wykazywał stulecia (nie był więc zbyt dokładny), wskazówka szybko się obracała. Wreszcie się zatrzymała. Według zegara cofnąłem się o niespełna 5 stuleci. Mój samochód stał na łące. Kilka metrów dalej były zabudowania wioski. Znajdowałem się w starej Częstochowie. Daleko na wzgórzu widać było klasztor jasnogórski. Ujrzałem z daleka stojących ludzi — mieszkańców wioski. Gdy zbliżyłem się do grupki ludzi, ci, wydawszy wrzask przerażenia, uciekli. Zrozumiałem, że wzięto mnie za diabła, czy może za innego potwora. Zacząłem wołać, aby się zatrzymali, ale gdzie tam. Wsiadłem więc do samochodu i ruszyłem do Krakowa — stolicy Polski. Nie będę opisywał szczegółów podróży, fakt, że po wielu przygodach dotarłem do miasta i tam dowiedziałem się od strażnika przy bramie, że jest rok 1480. Powiedziałem strażnikowi, który, mimo że był blady ze strachu, trwał na posterunku, że jestem podróżnikiem, mieszkańcem dalekiego kraju.

Poprosiłem, aby mi wskazał drogę na Wawel. Chciałem bowiem zobaczyć się z królem. Według moich dość skąpych wiadomości z historii (w szkole bowiem nie przykładałem się zbytnio do nauki) królem Polski w 1480 roku winien być Kazimierz Jagiellończyk. Było tak zaiste. Sława moja, jako przybysza z nieznanego kraju, dotarła na zamek królewski wcześniej. Dzięki niej z łatwością uzyskałem audiencję u króla. Na Wawelu panowała żałoba.

Niecały miesiąc temu, liczac od mego przybycia, zmarł Jan Długosz.

Król przyjął mnie bardzo uroczyście, ale i z pewnym strachem. Zdziwił się też widząc mój strój. Objaśniłem, jakie zalety ma moje ubranie (miałem na nogach trampki, które wzbudziły duże zainteresowanie króla). Następnie poprosiłem władcę o autograf. Nie wiedział, co to jest, ale gdy mu wytłumaczyłem, chętnie się podpisał w moim specjalnym pamiętniku. Następnie spytałem króla, czy mogę mu zrobić zdjęcie (aparat fotograficzny miałem ze sobą). Kazimierz Jagiellończyk miał pewne zastrzeżenia, ale gdy wyjaśniłem działanie aparatu fotograficznego (obawiam się, że nie zrozumiał), zgodził się.

Rozmawialiśmy później o wielu sprawach, nagrywałem głos króla na magnetofon i wreszcie pożegnaliśmy się.

Następnie ruszyłem w podróż po Polsce. Miałem zamiar jechać do Torunia. Jednak na Kujawach zostałem potajemnie oskarżony o „czarowanie" i skazany na spalenie na stosie. Kiedy się dowiedziałem o tym, przeniosłem się wehikułem czasu w nasz wiek.

I w ten sposób uciekłem z rąk Inkwizycji. Wróciłem aż nazbyt dokładnie w czasie, bo gdy spojrzałem na zegarek, stojący w kuchni, zobaczyłem, że nie minęła jeszcze minuta od opuszczenia domu. Kiedy usiłowałem rodzinę przekonać o tym, że naprawdę byłem w 1480 roku, wyśmiano mnie. Autograf króla zaginął, ale zostało zdjęcie. Gdy je pokazałem niedowiarkom, stwierdzili że po prostu sfotografowałem obraz Matejki przedstawiający Jagiellończyka. Rzeczywiście, król na zdjęciu był taki sam, jak król na obrazie Matejki.

Cóż, nie moja wina, że Kazimierz Jagiellończyk przybrał taką pozę jak na późniejszym obrazie Matejki! (rj)

Aleksander z Częstochowy

Fot. Mieczysław Szymkowski

KIEDY SĘDZIA GWIŻDŻE?

Andrzej Głowacki i Wiesław Szymański z Warszawy pytają nas, dlaczego na jednym z meczów sędzia nie podyktował rzutu karnego za faul obrońcy, lecz jakiś inny rzut w obrębie pola.

Dla wielu sympatyków piłki pod pojęciem faul zrozumiane jest każde wykroczenie przeciw przepisom gry, towarzyszące od czasu do czasu bezpośredniej walce zawodników o piłkę. Mówią „faul" na podstawienie nogi i zatrzymanie przeciwnika ręką, mówią też „faul", kiedy jeden z zawodników podniesie za wysoko nogę lub przeszkadza bramkarzowi w chwytaniu piłki. Natomiast przepisy dzielą takie wykroczenia na 2 kategorie:

1. grę brutalną (właściwy „faul"), w której wykroczenia są wynikiem rozmyślnego zagrania, w celu kontuzjowania lub unieszkodliwienia przeciwnika, narażenie go na ból lub utratę piłki. Za to dyktuje się rzut wolny bezpośredni lub karny, jeżeli przewinienie nastąpiło na polu karnym.

2. grę niebezpieczną, w której zawodnik nie ma takiego zamiaru jak przy grze brutalnej, jednakże swoim sposobem gry utrudnia przeciwnikowi dojście do piłki lub stwarza dla niego (albo nawet dla samego siebie) niebezpieczeństwo uszkodzenia ciała. Za to przewinienie sędzia zarządza zawsze rzut wolny pośredni niezależnie od miejsca wykroczenia, a więc również na polu karnym.

Odpowiadając zatem na wasze pytanie, uważam, że ten „jakiś rzut" był rzutem wolnym pośrednim nie za grę brutalną (faul), lecz za grę niebezpieczną lub za przeszkadzanie, względnie za naruszenie przepisów technicznych przez bramkarza (np. więcej niż 4 kroki z piłką w rękach).

*

Różnica między wolnym bezpośrednim i pośrednim polega — krótko mówiąc — na tym, że z pierwszego może być zdobyta i uznana bramka po jednym kopnięciu piłki, przy drugim zaś do uznania bramki niezbędne jest zagranie — albo chociaż dotknięcie piłki — przez któregokolwiek z zawodników, własnej drużyny lub przeciwnika.

*

Czy sędzia może podyktować rzut karny za faul nie popełniony na polu karnym? Absolutnie nie! Podstawowym warunkiem zarządzenia rzutu karnego jest popełnienie wykroczenia w obrębie pola karnego lub linii, ograniczającej to pole, ponieważ — w myśl przepisów — linie oznaczające pole karne należą do tego pola.

Odpowiadał:
GRZEGORZ ALEKSANDROWICZ

SPECJALNY WAKACYJNY TELEFON

28 77 21

— Proszę pana, ja dzwonię w imieniu kilku moich kolegów. Chcielibyśmy trochę zarobić, ale nie wiemy gdzie i w jaki sposób.

— Po co wam pieniądze?

— Na podręczniki. Będziemy uczęszczać do ósmej klasy i nasze mamy byłyby przyjemnie zdziwione, gdybyśmy książki kupili za własną forsę!

— Więc moglibyście odstawić do punktów skupu kilkanaście kilogramów makulatury, albo kilkadziesiąt butelek. Można też — urządzić wyprawę do lasu po „Złote Runo". Podobno świetnie wyrosły maślaki, jak również borowiki, rydze, gąski. Punkty skupu „Las" kupią od was każdą ilość grzybów, a ceny są wysokie!

— Dobra, a innych sposobów już nie ma?

— Jest jeszcze jeden, ale nie wiem, czy będzie wam odpowiadał. W sadach dojrzewają owoce, jest ich coraz więcej. Moglibyście popytać się znajomych, czy jakieś ogrodnictwo w waszej okolicy, Spółdzielnia Produkcyjna, albo PGR nie potrzebują kogoś do zbiorów. Wtedy wypadałoby wsiąść na rowery i podskoczyć na dzień, dwa. Rzecz jasna, rodziców trzeba wtedy uprzedzić, dokąd się wybierasz.

— Ten pomysł mi się podoba. Przy okazji można by rozprostować kości, bo od pewnego czasu zasiedzieliśmy się na podwórkach.

— Też tak uważam. Każdy w czasie wakacji powinien choć trochę popracować fizycznie. Dla nabrania krzepy i dla zdrowia.

— Halo? — Czy można już puszczać latawce?...

— Puszczać można, ale najwłaściwszą porą puszczania latawców jest wrzesień i październik. Wtedy wieją lepsze wiatry i latawce idą w górę, że hej!

RAD UDZIELAŁ ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Dajram ma 6 lat i mieszka w kołchozie Gok-tepe. Ta olbrzymia kapusta rośnie na polu uprawianym przez jej ojca. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że jeszcze rok temu, w tym miejscu gdzie uprawia się kapustę — była pustynia. I gdyby nie to, że już 300 m dalej zaczynają się wysokie barchany, a piasek jest tak rozpalony przez słońce, że włożone jajko ugotowało się po 10 minutach na twardo. Kto wie jednak, czy za rok i tam nie będzie uprawnych pól? Ludzki upór poparty wielką wiedzą nie takie cuda działa.

MELONY ROSNĄ NA PIASKU

Rolnik stara się ujarzmić najlagodniejsze części pustyni. Uczony — wręcz odwrotnie. Do swoich eksperymentów wyszukuje najbardziej dzikie.

Dr Obdurachman Owiezliw dziś właśnie wrócił z Repeteckiej Stacji Pustynnej.

— Jaka szkoda — powiedział do mnie — że nie możecie tam pojechać. — To samo serce Kara-Kum. Ale też i bardzo daleko Expressem jedzie się z Aschabadu 9 godzin. To teraz. Ale kiedy zakładano tam, w 1912 r., Stację Naukową — jechało się kilka tygodni. Na wielbładach.

W Repeteckiej Stacji można zobaczyć największe barchany. Można samemu się przekonać, jak w ciągu doby potrafią się przesuwać. Można tam też zobaczyć melony, fistaszki i winogrona rosnące wprost na piachu czy glinie. Robimy bowiem różnorodne doświadczenia, by pustynię przemienić w zielone ogrody.

Dlatego próbujemy ją orać i w bruzdach siać różne rośliny. Jedne w tym celu, by po prostu wzmocniły glebę i dzięki temu zahamowały ruch piasków. Inne, bo stanowią świetną paszę dla wielbładów i owiec. Wreszcie po to, by nie trzeba było owoców i jarzyn transportować setki kilometrów.

Nie byliście jeszcze nad morzem Kaspijskim. To kraj niezwykle bogaty. Wystarczy kijem powierzyć w piasku, a tryska nafta. Budujemy więc tam miasta. Ale życie w nich nie jest łatwe. Na przestrzeni wielu kilometrów nie ujrzysz źdźbła trawy, ani jednej roślinki. Do Krasnowodska, wielkiego portu morskiego i ośrodka przemysłowego, każdą kroplę wody dowozi się statkami aż z Baku.

Chcemy, żeby to się zmieniło. Chcemy, żeby ludzie mieli tam ogrody. Nie tylko dlatego, żeby nie było trzeba wszystkiego dowozić. Również dlatego, żeby ludzie lepiej się czuli.

...Mamy już dobre efekty. Stosując skomplikowane metody uprawy i nawożenia, udało nam się wyhodować takie odmiany jarzyn, które rosną na samej pustyni, którym wystarczają skąpe opady deszczowe występujące na Kara-Kum.

Badamy również życie tych krzewów i roślin, które wytrzymują upały, dochodzące przecież do 75°C. Na piaszczystej części Kara-Kum rośnie np. niewielkie drzewo, zupełnie pozbawione liści. Nazywa się saksaul. Jego korzenie rosną bardzo płytko (20—30 cm) pod piaskiem, ale sięgają 30 m długości. Historia tego drzewa jest bardzo ciekawa. Już w średniowieczu przekonano się o nadzwyczajnych walorach jego korzeni. Wysuszone, służyły ongiś do wytapiania słynnej stali damasceńskiej. Szable kute z tej stali przecinały pancerze europejskich rycerzy — jak płótno.

Badając rośliny, które do tej pory tylko wiosną rosną na pustyni, staramy się przedłużyć ich życie. By nasze stada nie cierpiały latem głodu. Krzyżujemy więc różne gatunki krzewów i roślin, by otrzymać bardziej odporne.

W Aschabadzie jest wielki Ogród Botaniczny. Zgromadziliśmy tam rośliny z całego świata. Badamy, które najlepiej nadają się do rozpowszechnienia na pustyni, a którymi najlepiej obsadzać brzegi Wielkiego Kanału. Obsadzenie właściwym gatunkiem drzew i krzewów brzegów kanału to bardzo pilne zadanie. Obecnie woda podmywa brzegi i zamula nurt. Trzeba je więc wzmocnić. Sadząc pasy drzewne wpłyniemy też na zmianę klimatu. Już teraz, po zbudowaniu kanału, lata stały się mniej gorące, a zimy łagodniejsze. Np. różnica temperatury lipca osiągnęła w ciągu kilku lat 7°C.

Zbudowaliśmy kanał, doprowadziliśmy wodę w wiele miejsc na pustyni. Ale to nie wystarcza, żeby zaczęła tam rosnąć bawełna. Na Kara-Kum ziemia jest słona. Czasem sól występuje na powierzchni w takiej ilości, że w blaskach słońca wygląda jakby spadł śnieg. Wpierw więc trzeba ziemię wymyć, wypłukać. Moja pracownia bada, jak uprościć te bardzo skomplikowane, długotrwałe i kosztowne zabiegi melioracyjne.

Nauczyliśmy się poznawać po roślinach budowę gleby. Po kolorze liści, po rodzaju roślin potrafimy też określać, jakie minerały znajdują się głęboko w ziemi. Geologowie początkowo nam nie wierzyli. Sprawdzali — pobierając próbki, badając je różnymi chemicznymi sposobami. Ale to wymaga wiele pracy i wiele czasu. A nam się śpieszy. Tyle jest przecież do zrobienia, żeby pokonać pustynię.

Rozwiązanie konikówki z nr 59 i Rozwiązanie krzyżówki z nr 60

KONIKOWKA

KĄP SIĘ TYLKO W MIEJSCACH STRZEŻONYCH

Nagrody PZU wylosowali:

BUDZIK — Wanda Baran — Strzelce 7.
KOMETKI: Danuta Patelska — Sarbia; Jan Puka — Kraków; Kazimierz Lepionka — Wasyłów 75.
KOMPASY: Roman Globiński — Nowa Cerkiew Krystyna Kruk — Kolanów 110.
KSIĄŻKI: Krzysztof Andres — Katowice 17; Hanna Bober — Dęblin; Krystyna Chwałek — Baranów Sandomierski; Anna Żelazek — Michalin k/ Otwocka; Barbara Kot — Pomiechówek; Władysław Mazur — Lębork, Ryszard Piotrowicz — Winnica; Grzegorz Ratajczyk — Stryków k/Łodzi; Maria Rychel — Oświęcim — Brzezinka 314; Roman Skowron — Sędziszów-Gródek 73.

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: ganek, stos, kuna, burak, Men, Ren, Alias, aga, toga, tempo.
PIONOWO: ina, głeb, kruk, scena, sulta, karat, Atena, agat, solo, emu.

Nagrody książkowe wylosowali: Zbigniew Cybulski — Kędzierzyn; Regina Fierek — Czuchów; Marek Kubak — Bielsk Podlaski; Iwona Rejner — Pieszyce; Jan Musiała — Słonsk; Anna Pisarek — Wesoła k. Warszawy; Wiesław Pilit — Swinlary Stare; Daniel Piach — Rumia; Małgorzata Wypych — Łódź Dąbrowa; Anna Zamorska — Wrocław.

...nice KARA-KUM

Pisał
i fotografował
J. B. KLIMA

O BARCHANACH I WĘDRUJĄCYCH PIASKACH

CZY to prawda, że wydmy się poruszają? — Z tym pytaniem zwróciłem się do dra Lwa Grigoricza Dobrina.

— W Europie, na ukształtowanie ziemi ma zasadniczy wpływ woda a dawniej działalnie lodowców.

U nas, na pustyni, tę rolę odgrywają wiatry. Wieją one stale. Raz słabiej (ok. 2 m/sek), a czasem z ogromną szybkością (35 m/sek). Zdarzają się nawet podmuchy osiągające 200 m/sek.

— Czyli 720 km/godz. Ależ to szybkość z jaką leci samolot.

— No właśnie! Takie huragany na szczęście nie są częste. Ale już wiatr o prędkości 0,25 m/sek przenosi pył o średnicy ziarna 0,03 mm, a przy szybkości 13 m/sek — wiatr unosi nawet bardzo gruby piasek, o średnicy ziarna przekraczającej półtora milimetra.

Powierzchnia pustyni jest nierówna. A każda nierówność: kępa traw, okruch skalny, krzaczek — stanowi przeszkodę, hamuje prędkość wiatru i zmusza go do osadzenia niesionego piasku.

W ten sposób tworzą się wydmy, czyli barchany.

— Czy są one duże?

— Barchany bywają różne. Małe i olbrzymy, sięgające 70 m wysokości. A są przy tym tak strome, a ich powierzchnia tak sypka, że żaden traktor, żadna maszyna tam nie wjedzie.

Najgorsze jednak jest to, że te barchany wciąż wędrują. Do 7 m na dobę, do 140 m na rok.

To one właśnie potrafią zasypać zbudowaną drogę, to one stanowią poważne niebezpieczeństwo dla każdego budowniczego. Mówiła o tym dr Sznejder. Ja dodam tylko jeden przykład: w pewnym miejscu Kara-Kum zbudowano wielkie hale produkcyjne. W połowie budynku warunki były idealne. W białych, wykrochmalonych koszulach można tam pracować. W drugiej piekło. Robotnicy każdego dnia kończą pracę zupełnie czarni. To złośliwe wiatry wpędzają do hal fabrycznych kiepy dymów i sadz z kominów.

Moja pracownia bada prawa, jakimi się rządzą ruchy powietrza na pustyni i ruchy piasków. Ale to żmudna praca, mozolna i ogromna. Trzeba opracować dla całej pustyni specjalne mapy i wykresy. Kiedy to nam się uda, wtedy ujarzmimy Kara-Kum. Ale przed tym trzeba wiele tajemnic jej wykraść.

WODA NA PUSTYNI

CZŁOWIEK, który nigdy nie widział pustyni, wyobraża ją sobie jako martwe morze piasku, na którym nic nie rośnie. Na którym nic nie żyje. Gdzie nigdy nie spadnie kropla deszczu. Nic bardziej fałszywego! I choć na Kara-Kum zginęło wiele karawan z pragnienia i głodu, chociaż pustynia jest groźna i niebezpieczna — to ona jednak żyje. Żyją też na niej ludzie.

Turkmeni, do niedawna, byli ludem koczowniczym. Całe plemiona wypasały na pustyni swoje stada owiec i wielbłądów, z rzadka tylko zaglądając do oaz i stałych ludzkich osiedli. Plemiona te znały sposoby odszukiwania podskórnych wód. Budowały na pustyni studnie.

Pod piaskami, czasem na głębokości 10—20 m, a czasem aż 150—200 m, są całe wielkie zbiorniki wodne. Trudność polega na tym, że większość tej wody nie nadaje się do picia. To słona woda.

Biada więc karawanie, która po wyczerpaniu własnych zapasów zaczęła ostatkiem sił kopać w niewłaściwym miejscu. Kiedy wreszcie tryskała woda — okazywała się słona. Najczęściej ludzie nie mieli już sił kopać w innym miejscu. A przecież wystarczyło poszukać zaledwie kilkaset metrów dalej... by dotrzeć do źródeł słodkiej życiodajnej wody.

Zadaniem mojej pracowni — mówi dr Grigorij Trofimowicz Leszczyński — jest znalezienie takiej metody, która pozwoli bezbłędnie określać, gdzie jest dobra, a gdzie zła woda. I nie tylko to... Uczymy się również w sztuczny sposób magazynować na pustyni dobrą wodę.

Spójrzcie tylko na te fotografie — dr Leszczyński pokazał mi album. Ujrzałem tam długie wały usypane na pustyni. Łączyły się, tworząc zamkniętą, odgrodzoną powierzchnię. Od tych wałów, do środka, biegły drobne kanaliki.

— To właśnie nasz eksperyment — uczony uśmiechnął się zadowolony. — Nawet na Kara-Kum spadają deszcze. Więcej zimą, mniej latem. Sztuka w tym, by wodę deszczową zmagazynować. Na gliniastej części pustyni (Takyr) zbudowaliśmy więc takie oto wały. Każdy długości ok. 1 km. Przez rok cała woda deszczowa spływała na okopanej powierzchni do środka, tworząc podziemny zbiornik. Obliczyliśmy ten zapas. Wyniósł 7.000 m^3 dobrej wody. W promieniu 10 km od takiej czerle — studni, można przez rok wypasać 5000 owiec. Starczy im i pożywienia i picia.

Od 12 lat badamy ten problem. Stale udoskonalamy metody. Wciąż jednak wstrzymujemy się od ich upowszechniania. Ale przyjdzie taki dzień, kiedy na całej Kara-Kum powstanie sieć podziemnych zbiorników. Wtedy zaroi się pustynia od stad owiec i wielbłądów. Kara-Kum przestanie straszyć ludzi.

Warto jeszcze dodać — wtrąca dr Michał Wasilewicz Kołodin — że równocześnie z doświadczeniami prowadzonymi przez dr Leszczyńskiego, są prowadzone prace nad odsalaniem wody. Znamy już trzy sposoby. Powiem krótko, że najwięcej nadziei wiążemy z metodą polegającą na odsalaniu podskórnej wody przy pomocy gazów (butanu i propanu). Być może, już niedługo, każdy czaban (pastuch) będzie jeździł z małym aparatem, przy pomocy którego będzie można na dobę odsalać do 500 l wody.

W Instytucie Pustyń pracuje nieliczna garstka naukowców. Z ich mozolnego trudu, dzięki ich talentowi i wiedzy pustynia Kara-Kum każdego dnia traci swoją złą moc. Ci ludzie spaleni przez słońce i wiatry poświęcili swe życie jednemu tylko celowi: chcą wydrzeć pustyni wszelkie tajemnice. Chcą zmusić sypki jak cukier piasek i popękaną, zeschniętą na skałę, glinę — do posłuszeństwa, do uległości. Uparli się słoną wodę — przemienić w zdatną do picia, a pustynię — w żyzną ziemię.

Niewidomy wioślarz i przewodnik na wieczornej przejażdżce na Jeziorze Kierskim
Zdjęcie autora

WAKACJE NIEWIDOMYCH

PO ogromnej tafli jeziora Kierskiego spokojnie płynie łódź niosąca dwu pasażerów. Tylko jeden z nich pracuje wiosłami. Drugi, siedzący na rufie łodzi, jest jego przewodnikiem. Co chwila Sławek, bo tak ma na imię przewodnik, podaje komendę:

— Tylko lewe wiosło! Jeszcze raz lewe! Teraz oba! Cała naprzód!

Jurek bezbłędnie wykonuje rozkaz, łódź wymija róg pomostu i płynie równo dalej. Nikt by nie zgadł, że wiosłujący chłopak nie widzi. Jest niewidomym.

Pukam do pokoju nr 36. W pokoju dwu mężczyzn — widzący kilkunastoletni chłopiec i niewidomy mężczyzna. Niewidomy, to jest właśnie pan Włodzimierz Kopydłowski, kierownik obozu sportowo-rehabilitacyjnego, zorganizowanego dla niewidomej uczącej się młodzieży, przez Polski Związek Niewidomych w Kiekrzu. Gdy przedstawiłem mu cel swojej wizyty, pan Włodek powiedział:

— Gdyby pan mógł przyjść do mnie za godzinę... Teraz jest dziewiętnasta, więc o dwudziestej.

Mówiąc to, pan Włodek uchylił szkiełko ręcznego zegarka i wskazującym palcem dotknął tarczy i wskazówek. Na tarczy są normalnie wypisane cyfry, ale nad trójką, szóstką, dziewiątką i dwunastką — jest po dwie wypukłe kropki. Nad pozostałymi cyframi — po jednej. Zegarek „Rakieta" produkcji ZSRR jest specjalnie przystosowany dla niewidomych.

NIEWIDOMI, TURYSTYKA I SPORT.

ZGŁASZAM się o omówionej godzinie.

— Co roku — opowiada pan Włodek organizujemy obóz w innym rejonie Polski, żeby nasza młodzież poprzez wycieczki poznawała ojczysty kraj.

— Ale przecież wasi uczestnicy nie widzą?

— Proszę pana, dużo ludzi tak uważa. Mówią: po co niewidomych wieźć w teren, kiedy wystarcza opis krajobrazu. Ale to nieprawda. To się wydaje tylko tak pozornie. Las czujemy po szumie drzew, świergocie i śpiewie ptaków. Później rzeczka, plusk jej wartkiej wody. Opodal ośrodek campingowy, gwar ludzi i dzieci daje odczucie wczasów.

Dziś byliśmy w Poznaniu, w muzeum instrumentów muzycznych. Dyrekcja pozwoliła nam niektórych eksponatów dotykać. Poznaliśmy instrumenty, których wielu z nas nie znało: harfy dyfry, klawesyn... Ale szereg eksponatów jest w gablotach za szkłem. Wtedy przewodnik opisuje ten instrument. Moim palcem rysuje po szybie kształt instrumentu i wtedy mam o nim wyobrażenie.

Niewidomi uprawiają również lekkoatletykę. Oto niewidomy na bieżni. Pada sygnał startu na 60 metrów. Na mecie stoi instruktor i gwizdkiem nakierowuje bieg. Niewidomi trenują też skoki w dal. Przed dwoma laty skakano tylko z miejsca. Teraz skacza również z rozbiegu.

NIEWIDOMI CZYTAJĄ

PAN Włodek wszystko mi pokazuje, wyjaśnia. Zna dobrze środowisko, pracuje w nim jako radca prawny, sam jest niewidomym od 12 roku życia. Wzrok stracił przez nieszczęsny niewypał. I choć niewidomy — skończył szkołę powszechną i średnią. Później na Wrocławskim Uniwersytecie studiował prawo. Nieocenionej pomocy udzielali mu koledzy. Życzliwy stosunek ludzi z otoczenia, to dla niewidzącego życiowy skarb.

Mój rozmówca sam biegle czyta i pisze systemem Braille'a. Prezentuje mi właśnie, jak się tym systemem pisze. Bierze metalową tabliczkę wielkości szkolnego zeszytu, pokrytą doleczkami ułożonymi po sześć w prostokącikach. Tych prostokącików jest 23 w jednym rzędzie, a rzędów 22. W każdym prostokącie, w sześciu doleczkach można umieścić jeden z 63 znaków pisarskich. Niewidomy nakłada na tabliczkę arkusz papieru nieco grubszy niż normalny, przykrywa ramką, na ramkę nakłada specjalną linijkę i, orientując się według niej, sztyfcikiem podobnym do tempego szydełka, wyciska znaki. Pisze z szybkością widzącego, z prawej strony do lewej, później odwraca kartkę i po wyciśniętych punktach czyta ręką z lewej strony w prawą.

*

Serdecznie dziękuję i żegnamy się. Jest już godzina 21. Niewidomi obozowicze korzystają z wieczornego spaceru — rozmawiają i żartują. Tak, jak to na każdym bywa obozie.

STEFAN KOJŁO

Gang z ulicy Brzeskiej

20

STANISŁAWA PLATOWNA

Najgorsze zdarzyło się wczoraj. Całe szczęście, że Ewa nie poszła z nami. Szef kazał jej zostać w domu. To było tak. Mama wyszła późnym popołudniem na imieniny koleżanki, zapowiedziała, że nie wróci przed dziesiątą. Szef jakby o tym wiedział. Usiadłem właśnie przy biurku, chciałem uporządkować swoje znaczki, do których dawno nie zaglądałem, gdy usłyszałem gwizd.

Okazało się, że chłopaki wybierają się do miasta i oczywiście beze mnie się nie obejdzie. Nie miałem ochoty wychodzić, powiedziałem im to, ale nic nie pomogło.

— Nie łam się, Elegancki — Szef ujął mnie pod ramię i pociągnął ku wyjściu — albo jesteś swój chłop albo lala malowana. Mamy dziś wieczór ważną sprawę do załatwienia, jesteś nam potrzebny.

— O co chodzi? — spytałem.

Pomyślałem z przerażeniem, że znów chcą mnie wrobić w jakieś włamanie do kiosku albo w coś jeszcze gorszego.

— Drobiazg — mruknął lekceważąco Szef — taka jedna ferajna z sąsiednich ulic za bardzo podskakuje i nie pilnuje swego nosa. Włażą nam na nasze tereny, musimy im wytłumaczyć, że to się może smutno skończyć.

Odetchnąłem. Ostatecznie to nic strasznego dać paru chuliganom po uszach. Bo już wiedziałem, co Szef rozumie pod słowem „tłumaczenie".

Poszliśmy. Misiek prowadził bokami przez podwórza, potem przeszliśmy przez dziurę w płocie, potem przez niewysoki murek i wreszcie znaleźliśmy się na tyłach jakiegoś warsztatu. Pełno tu było drewnianych szop, na środku podwórza leżały żelazne szyny i pręty, w kącie stały paki i beczki.

Szef jak prawdziwy dowódca rozdzielił swój oddział. Misiek i Orczyk ukryli się za beczkami. Zaskroniec i Lampa wcisnęli się między parkan a szopę, Saksofon i Ślusarz przycupnęli w cieniu warsztatu. Szef przywołał mnie skinieniem ręki i powiedział:

— My idziemy na wabia.

Weszliśmy w ciemny korytarz. Po chwili zorientowałem się, że kamienica, do której przylegał warsztat, nie była zamieszkana. Był to wypalony dom przeznaczony do remontu lub rozbiórki. Nasze kroki dudniły w pustej sieni.

Szef zatrzymał się, wyjął papierosy i podsunął mi pudełko. Byłem tak podniecony niezwykłą sytuacją i oczekującą nas bójką, że machinalnie wziąłem jednego. Paliliśmy w milczeniu, ukryci w załomie muru.

— Na co czekamy? — spytałem szeptem.

— Na nich — odparł również szeptem Szef — przyjdą tu. Zawsze przychodzą koło ósmej. Mają tu swoją melinę na piętrze, musimy ich podprowadzić chłopakom na podwórko.

Nie czekaliśmy długo. Minęło może dziesięć, może piętnaście minut, gdy usłyszeliśmy kroki i głośną rozmowę. Po chwili w jaśniejszym prostokącie bramy ukazały się jakieś postacie. Szef rzucił swego papierosa na ziemię, zadeptał go starannie i, nie wychodząc z mroku, powiedział swobodnym tonem.

— Cześć, obywatele!

— Ty tu czego? — spytał jakiś mało uprzejmy ochrypły głos.

— Na was czekam, najmilsi. Płonę żądzą ujrzenia waszych przemiłych twarzyczek.

— Te, tylko bez zgrywy. Chcesz w mordę? — zareplikował ochrypnięty.

— Fe — czułem, że Szef się uśmiecha — takie brzydkie propozycje między kolegami? Proponuję wam przyjacielską rozmowę, a wy...

— Julek — usłyszałem podniesiony szept — to ten ważniak spod piętnastego.

— Sam jesteś? — badał sytuację zachrypnięty, nazwany Julkiem.

— Z kolegą — odparł Szef wysuwając mnie do przodu — no, więc jak będzie? Pogadamy?

— Możemy pogadać — zgodził się niechętnie Julek — tylko pytanie, czy się dogadamy. Wiem, o co wam chodzi.

— Tym lepiej — powiedział prawie wesoło Szef — obejdzie się bez wstępów.

— No to jazda — mruknął Julek, widać przywódca tej całej ferajny — na prawo są drzwi i drabina na piętro.

— O nie — zaoponował Szef — rozmawiać będziemy na gruncie neutralnym. Myślisz, że na frajerów trafiłeś? Wy tu u siebie w domu, znacie wszystkie kąty, moglibyśmy nogę złamać, albo nos rozbić, przypadkiem oczywiście. Pójdziemy na podwórze.

— Cwaniak jesteś — wyczułem w głosie Julka uznanie — możemy gadać na podwórzu.

Ruszyliśmy. Szef na przodzie, za nim obca ferajna — ja na końcu. Policzyłem ich, gdy przechodzili koło mnie. Było ich sześciu. Marne widoki, byli z góry przegrani. Nas było ośmiu, a taki Orczyk sam jeden starczył za trzech.

Weszliśmy na podwórze. Rozejrzałem się niespokojnie dookoła. Cisza panowała idealna, chłopaki przywarowali tak, że nie można było dostrzec nawet koniuszka ucha. Usiedliśmy na żelaznych szynach. Szef zabrał głos:

— Powiem krótko. Bez pytania wleźliście na nasze tereny. My nie lubimy konkurencji. Więc albo spłyniecie z naszego rejonu, albo wyrzucimy was na zbity pysk!

— Te, co się tak stawiasz? Widzicie ważniaka! Nie masz nam nic do rozkazywania! Sam spływaj, ty szmaciarzu!

Wśród ferajny zakotłowało się, obelżywe słowa padały ze wszystkich stron. Julek natarł na Szefa i, podsuwając mu pod nos zwiniętą pięść, zapytał:

— Chcesz skosztować?

Szef odskoczył i gwizdnął na palcach. W mgnieniu oka nasi chłopcy włączyli się do akcji. Orczyk i Misiek zaatakowali z największą furią. Już po chwili dwóch z nieprzyjacielskiej paczki leżało na ziemi. Mnie przypadł w udziale nie wysoki, ale krępy i bardzo silny chłopak.

Zaczęliśmy się mocować, w pewnej chwili podstawił mi nogę. Nie zwolniłem chwytu i obaj gruchnęliśmy na ziemię. Poczułem cholerny ból w łokciu, lewa ręka zdrętwiała mi zupełnie i palce zaciśnięte na karku przeciwnika same się otwarły.

„Koniec — pomyślałem, czując że nie mogę ruszyć ręką — teraz mi da łupnia!"

Ale chłopiec nie podniósł się. Leżał na wznak i nie poruszał się.

„Dobra jest — pomyślałem — jeszcze jeden ugotowany" — i rozejrzałem się za następnym przeciwnikiem.

Ale walka była już skończona. Szef otrzepywał ubranie, Orczyk dysząc ciężko oglądał rozerwany rękaw koszuli, reszta skupiła się wokół płaczącego głośno chłopaka. Był to Julek, dowódca.

— Wystarczy wam, czy mamy powtórzyć? — spytał Szef patrząc z niesmakiem na pokonanego wroga.

— Wy-wystarczy — zaszlochał Julek.

Reszta jego ferajny stekała głośno, rozcierając porozbijane nosy i głowy.

— No to jazda stąd, i żebym was więcej na oczy nie oglądał, gówniarze! — krzyknął Szef. Posłusznie skierowali się ku bramie. Po chwili zmknęli w ciemnościach.

Nagle uprzytomniłem sobie, że było ich tylko pięciu i przypomniałem sobie o chłopcu, z którym walczyłem. Leżał tam, gdzie upadł i nie ruszał się. Zmartwiałem z przerażenia.

— Szefie — zawołałem — temu coś się stało!

Szef pochylił się nad leżącym, ujął go za puls, potem ukląkł i przyłożył ucho do piersi.

— Żyje — powiedział — ale go potężnie zamroczyło. Który mu tak dosunął?

— Ja nie — odezwał się szybko Orczyk, bowiem Szef spojrzał na niego podejrzliwie.

— Ja się z nim biłem — powiedziałem — upadliśmy razem.

— Wszystko jedno — machnął ręką szef — trzeba go ocucić, bo może wykitować. Uderzył głową o szyny. Misiek poszukaj wody.

Na szczęście przy szopie znajdował się sprzęt przeciwpożarowy, duża beczka pełna była wody. Misiek wylał wiadro na głowę nieprzytomnego chłopca.

— Rusza się! — z ulgą zawołał Lampa. — Nic mu nie będzie!

Rzeczywiście chłopiec drgnął, zamrugał powiekami, po nowej porcji wody otworzył oczy. Spojrzenie miał nieprzytomne, głowa leciała mu bezwładnie na boki. Podparłem go ramieniem i spytałem, czy może wstać. Nie odpowiedział, nie wiem, czy nawet zrozumiał moje pytanie. Razem z Lampą chwyciliśmy go pod ręce, dźwignęliśmy, stanął na nogach. Dotknął swojej głowy skrzywił się.

— Możesz iść o własnych siłach — spytałem.

Spojrzał na mnie koso i mruknął:

— Pewnie, że mogę.

Puściliśmy go. Zatoczył się, ale po chwili odzyskał równowagę. Znowu obmacał sobie głowę i jęknął.

— Trochę wyżej i byłoby po nim — zauważył obojętnie Saksofon.

Cdn.

Rys. St. Rozwadowski

PRZYGODY PANA PASKA

Był rok 1660, żołnierze Czarnieckiego powracali z Danii. Prezentowali w Warszawie przed królową Ludwiką i jej fraucymerem duńską modę i opowiadali cudeńka o nieznanym kraju. Wiózł Pan Pasek z Danii do domu różne „rarytety", osobliwie monety stare, różne „specyjały", których dotąd Polska nie widziała. Dla damy swego serca, podczaszanki rawskiej, miał prezent osobny. Aby znaleźć godną prezentu oprawę, kupił w Poznaniu „pultynek specjalny, sztukwarową robotą, hebanem i perłową masą nasadzany, adamaszkiem karmazynowym podklejony". W takim to pudełku miał być prezent pannie uroczyście wręczony.

Rysunki: MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

Scenariusz: BARBARA TYLICKA

Kormorany

C. d. ze str. 1

Pojechaliśmy rankiem następnego dnia. Najpierw trzy godziny pociągiem, z którego okien co kilkanaście minut migała tafla innego jeziora, a potem, już z Mikołajek, samochodem „wykombinowanym" przez pana inżyniera w Państwowym Gospodarstwie Rybackim. Dalej ruszyliśmy w las pieszo. Najpierw przywitały nas maliny, różne krzaki i zioła, a kiedy doszliśmy do ściany wysokiego lasu, dowiedziałam się, że jesteśmy na skraju Puszczy Piskiej, a te sosny mają więcej niż 30 m wysokości!

— Ich pnie pozbawione są sęków, a drobnosłoiste drewno jest bardzo cennym budulcem — tłumaczył inż. Panfil. — Dwa lata temu byli na Mazurach szwedzcy naukowcy, ażeby zaszczepić ten typ sosny w swoim kraju. Jeden z nich osobiście wdrapał się na 30-metrowy pień, aby z korony drzewa ściąć gałązki.

Spojrzałam na gładkie jak słupy telegraficzne pnie i pomyślałam z uznaniem o naukowcu, który wykazał zręczność... wiewiórki.

— I gałązki te powieźli do Szwecji? — zapytałam.

— Tak. I to w lodówce, ażeby nie straciły wilgotności.

Kolonie gniazd

Posuwaliśmy się w głąb lasu. Pokrzywy były istotnie imponujące, zupełnie jakby chciały dorównać wzrostem masztowym sosnom. Pierwszy szedł inżynier Panfil, toteż atak parzącego zielska skierowany na mnie był już nie tak silny, niemniej jednak z właściwością pokrzyw zapoznałam się dokładnie! Mogłabym opisać kolejne fazy — od parzenia, poprzez bolące swędzenie, aż do momentu, gdy wydaje się, że skóra, rośnie i puchnie... Bez fałszywej skromności muszę jednak stwierdzić, że zniosłam to całkiem dzielnie, a nawet i z pewnym optymizmem, bo przypomniałam sobie, co mówią o pokrzywie jako lekarstwie na... reumatyzm.

— Niech pani spojrzy w górę. — Inżynier zatrzymał się obok zwalonego pnia drzewa. Znajdowaliśmy się na polance, na której na szczęście pokrzyw nie było. Podniosłam głowę wysoko.

Na czubach wysokich sosen tkwiły wielkie, ptasie gniazda, było ich po kilka na jednej koronie, liczyłam: sześć, siedem, osiem... W górze kołowały ptaki.

— Te mniejsze i ciemniejsze to kormorany — mówił inżynier. — A ten tuż nad nami, to czapla siwa.

Patrzyłam, jak ptaki przysiadają na gniazdach, lub, zatrzymując się na krótszy odpoczynek, trzymają się gałęzi sosen i kołysza wraz z nimi w lekkich podmuchach wiatru. Niektóre kormorany siedziały tak dość długo ze skrzydłami rozpostartymi szeroko.

— Susza skrzydła — usłyszałam.

— Kormorany nurkują po ryby głęboko w wodę i potem muszą obeschnąć na słońcu lub wietrze, zabiera im to sporo czasu. Widzą nas — komentował dalej zachowanie ptaków inżynier. — Mają świetny wzrok!

Inżynier Jan Panfil spędził bardzo wiele dni na obserwacji kormoranów, towarzyszył bowiem wyprawom profesora Jana Sokołowskiego, znanego polskiego ornitologa, który prowadził badania nad życiem ptaków, występujących w Polsce. Pod koniec lipca kormorany odlatują już w stronę Bałtyku, kocząc nad jeziorami, gdzie zaopatrują się w pożywienie. Jesienią kierują się ku zachodnim wybrzeżom Europy i nad Morze Śródziemne. Te, które pozostały w rezerwacie, należą do „spóźnialskich". Zatrzymały je dzieci, prawdopodobnie wyklute z drugiego lęgu, a więc jeszcze wymagające rodzicielskiej opieki.

Wyspa kormoranów

Przysiedliśmy na polance, a inżynier opowiadał dalej. A więc najpierw o tych pokrzywach. Oto dlaczego jest ich tu tak dużo. Okazuje się, że nawóz ptaków jest bardzo bogaty w minerały, odpowiadające pokrzywom.

W rezerwacie Łuknajno „mieszka" około 300 czapli i około 100 kormoranów. W maju, czerwcu jest tutaj bardzo gwarno. Z każdego gniazda wykluwa się po kilka piskląt, które są bardzo żarłoczne! Po dwóch miesiącach pisklęta zaczynają już same fruwać. Kormorany żywią się wyłącznie rybami, toteż występują nad wielkimi rzekami lub w okolicach obfitujących w rybne jeziora; doskonale pływają i nurkują, a również... łażą po drzewach. Zjadają ponad pół kilograma ryb dziennie, ale jest to przeważnie tzw. „chwast" rybi, a więc sztuki chore i nie przedstawiające wartości dla gospodarki rybnej. Oczywiście, że czasami udaje się kormoranom złowić węgorza lub szczupaka...

Rys. Mieczysław Teodorczyk

A oto kormoran we własnej osobie. Długość ciała kormorana czarnego wynosi 85-93 cm, rozpiętość skrzydeł sięga 132-140 cm. Młode ptaki w pierwszym opierzeniu są szarobrązowe, każdego roku pióra ich ciemnieją i dopiero w czwartym roku życia przechodzą w czerń z zielonkawym połyskiem.

Foto CAF.

Ptak w kołnierzu

Rybackie zdolności kormoranów wykorzystują ludzie. Na przykład w Chinach rybacy posługują się oswojonymi ptakami przy połowie ryb. Zakładają im na szyję rodzaj obrączki, która nie pozwala na przełknięcie zdobyczy. Kiedy ptak schwyta większą rybę, odbierają mu, a obroczkę zdejmują z jego szyi dopiero wtedy, gdy kormoran wykona swój plan połowu.

Kormorany są bardzo wojownicze, biją się między sobą o materiał na budowę gniazda, a nawet o miejsce na gniazdo. Tam, gdzie nie ma wysokich sosen, buków, czy dębów, ptaki osiedlają się na skałach, a również wśród krzewów i trzcin na ziemi. Walcza, chwytając się dziobami za kark i usiłują zrzucić przeciwnika z gałęzi, lub tak długo się mocują trzymając się za dzioby (a są one hakowato zagięte, mocne!), aż słabszy ustąpi! Taka walka na dzioby trwa nieraz i kilkadziesiąt minut! Nic dziwnego, że kormorany potrafią przepędzić prawie wszystkie ptaki z wyjątkiem potężnego orła-bielika, orła-przedniego lub puchacza.

Czas wracać już...

Czas szybko płynął. Skubałam maliny i nadsłuchiwałam okrzyków wydawanych przez kormorany. Możecie mi wierzyć, że popularna piosenka, śpiewana przez Piotra Szczepanika, jest o tysiąc razy bardziej melodyjna, niż dźwięki wydawane przez te ptaki! Nie zauważyłam, kiedy inżynier znów dał „nura" w pokrzywy. Wrócił po kilkunastu minutach i oznajmił:

— Znalazłem gniazdo orła! Nie wiem tylko, czy to orzeł-przedni czy bielik. Bielik nie należy na Mazurach do rzadkości, ale orzeł-przedni zagląda tu bardzo rzadko. Kiedyś wytrzebiony przez górali z powodu piór, którymi zdobili swoje kapelusze, jest teraz gościem przelotnym. W ogóle orzeł-przedni to podróżnik: do piątego roku życia odbywa dalekie wędrówki i dopiero później zakłada gniazdo i już trzyma się jednego miejsca. Trzeba będzie polecić dozorcy rezerwatu, aby poobserwował to gniazdo. Teraz jest puste, orzeł gdzieś poleciał.

Spojrzałam przez lornetkę. Gniazdo było ogromne! Szkoda, że nie było w nim orła...

Znad jeziora Śniardwy ciągnęła chmura, poprzez korony sosen przeświytywał jej głęboki granat. Błysnęło, zaś odgłos dalekiego grzmotu zadudnił nad wodą. Zbliżała się burza.

Pożegnałam spojrzeniem szybujące w górze czarne kormorany i raz jeszcze przyjrzałam się ich gniazdom, podobnym do kęp siemiołu. Idąc z powrotem w kierunku drogi do Mikołajek, znów trzeba było pokonać wojowniczą i parzącą plataninę pokrzyw.

ANNA GRZYBOWIECKA

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 1101. T-4C

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24